

R. KIPLING

TOOMAI OD SŁONI

PRZEKŁAD

J. CZEKALSKIEGO



WARSZAWA
NAKLAD OEBETHNERA, I WOLFFA
KRAKÓW — G. OEBETHNER I SPÓŁKA

1908

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Chcę dawnych wolnych dni skosztować
[znów uroku;
Obmierzły pęta mi; człekowi przy mym
[boku
Za marną wiązkę trzcin sprzedawać nie
[chcę siebie.
Jam wolnej puszczy syn, chcę w dawnym
[pobyć niebie.

Więc nim zabłyśnie świt, nim spłonie
[brzask różowy,
Zagłuszę kajdan zgrzyt, igrając śród dą-
[browy;
Niewoli zmyje brud strumyka toń źród-
[łana,
I ujrzę bratni ród, co nigdy nie znał
[pana!

Kala Nag, co znaczy Wąż Czarny, oddawał rządowi indyjskiemu już od czterdziestu siedmiu lat wszelakiego rodzaju usługi, do jakich tylko słoń może być zdolny; ponieważ zaś w chwili pojmania miał dwadzieścia lat skończonych, zatem zbliżał się do siedemdziesiątki, co, jak na słoń, stanowi wiek dojrzały. Pamiętał, jak niegdyś z grubą skórzaną poduszką, przywiązaną u czoła, popychał na-

przód działa, ugrzęzłe w głębokiem błocie — a było to przed wojną afgańską 1842 roku, gdy jeszcze nie był doszedł do zupełnego rozwoju swych sił. W młodzięcym wieku, nim powypadały mu niewielkie kły mleczne, słyszał od swojej matki, Radha Pyari (ulubiona Radha), pojmanej podczas tej samej co i on oblawy, że zawsze najgorzej wychodzą te słonie, które się dają zastraszyć. Wkrótce zrozumiał słuszność tej przestrogi, gdy bowiem po raz pierwszy ujrzał pękający granat, cofnął się z rykiem ku szeregom najeżonych bagnetów, które go w najdotkliwszych miejscach pokłuły, Zato też nim skończył dwudziesty piąty rok życia, nie wiedział już, co znaczy trwoga, i został najulubieńszym i największą troskliwością otaczanym ze wszystkich słoni w usługach rządu indyjskiego. Przenosił namioty — po dwanaście centnarów naraz — w czasie pochodu przez Indje Wyższe; następnie wwindowano go na okręt i po długiej wodnej podróży kazano mu nosić moździerz na grzbiecie w jakimś obcym skalistym kraju, bardzo daleko od Indji. Widział umarłego cesarza Teodora w Magdali i powrócił tym samym parostatkim, zasłużony w zupełności, jak utrzymywali żołnierze, na medal za wojnę abisyńską. W dziesięć lat potem widział towarzyszków swoich, padających trupem od mrozu, epilepsji, głodu i porażenia słonecznego w miejscowości, zwanej Ali Musyid, skąd następnie wyprawiono go o tysiące mil na południe, gdzie w warsztatach ciesielskich w Moulmeinie musiał prznosić i układać w stosy grube belki drzewa. Tam o mało nie zabił krnąbrnego młodego słonia,

który odmawiał wykonania przypadającej nań części roboty.

Później odwołano go od dźwigania budulca i użyto wespół z kilkudziesięciu innymi towarzyszami, mającymi już wprawę, do pomocy przy chwytaniu dzikich słoni pośród gór Garo. Rząd indyjski wielką wagę przywiązuje do słoni. Istnieje osobny wydział, przeznaczony wyłącznie do urządzania obław na te zwierzęta, chwytania ich, osważania i rozsyłania z jednego końca kraju na drugi stosownie do potrzeby.

Kala Nag miał wzrostu z górą dziesięć stóp, licząc tylko do grzbietu; kły podpiłowano mu do pięciu stóp długości i ażeby się nie rozłupywały, oprawiono na końcach w gałki mosiężne; ale on tych pieńków lepiej używać umiał, niż niejeden słoń dziki całkowitych zaostrzonych kłów.

Gdy po kilkotygodniowej obławie za rozpierzchłymi po górach słoniami udawało się nareszcie zapędzić kilkadziesiąt tych potworów do ostatecznej zagrody, i gdy ciężka, z olbrzymich kłód zbita brama zamykała się za nimi, Kala Nag, na dane hasło, wkraczał do tego gorejącego i huczącego piekła (odbywa się to zwykle śród ciemnej nocy, aby migocące światła pochodni nie pozwalały słoniom orjentować się w przestrzeni), rzucił się na największego i najdzikszego samca, a szturgając go i tłukąc, zmuszał do uległości, gdy tymczasem ludzie, siedzący na karkach innych słoni, pętali i krępowali słabsze.

W sztuce walczenia nie było tajemnic dla Kali Naga, doświadczonego Czarnego Węża; po

wielekroć w życiu swoim odpierał natarcie zranionego tygrysa, gdy z podwiniętą starannie do góry delikatną trąbą, ażeby jej na szwank nie narażać, rzutem własnego wynalazku, odtrącał zwierza w powietrznym jego skoku półkolistym łbą uderzeniem, wywracał go na ziemię i ukląkszy na nim, przygniatał ciężkimi kolanami dopóty, aż z wyciem i charkaniem duch z niego uleciał, potem na ziemi zostawała tylko pręgowata zmiażdżona masa, którą włókł za ogon.

— O tak! — mawiał jego kornak¹⁾, Gruby Toomai, syn Czarnego Toomai, który go prowadził do Abisynji, a wnuk Toomai od Słoni, który był świadkiem jego pojmania. — Wąż Czarny niczego i nikogo się nie boi, prócz mnie. Widział już trzy pokolenia nasze, które go karmiły i dozorowały, a dożyje i do czwartego.

— On i mnie boi się także — odpowiadał Mały Toomai w jednej tylko przepasce na biodrach, prostując się na całą swoją półtorałokciową wysokość. Był to dziesięcioletni chłopiec, najstarszy syn Grubego Toomai, mający, według tradycji, zając w dojrzałym wieku miejsce swego ojca na grzbiecie Kali Naga i ująć ankus, t. j. ciężki żelazny bodziec na słonie, wypolerowany dłońmi jego ojca, dziada i pradziada. Chłopiec wiedział, co mówi: urodził się bowiem w cieniu Kali Naga, bawił się końcem jego trąby, zanim jeszcze nauczył się chodzić, a od tej chwili prowadził go stale do wody -- i Kali Nagowi do głowyby nawet nie

¹⁾ Kornak — przewodnik i opiekun słonia.

przyszło opierać się jego rozkazom, wydawanym słabym, piskliwym głosem, tak samo, jak nie przyszło mu do głowy zabić malca w owym dniu, gdy Gruby Toomai uniósł do jego kłów małe brunatne niemowlę i kazał mu powitać przyszłego pana.

— Tak — mówił Mały Toomai — on się mnie boi!—I szedł do Kali Naga wielkimi krokami, przezywał go ospałym »starym wieprzem« i zmuszał do podnoszenia nóg jednej po drugiej.

— *Wach!* jesteś dzielnym słoniem — ciągnął dalej, potrząsając zwichrzoną czupryną i powtarzając to, co słyszał od ojca: — Rząd płaci grubo za słonie, a jednak one należą tylko do nas, *machoutów*. Gdy się zestarzejesz, Kalo Nagu, przyjdzie jaki stary *radża* i oceniając twój wzrost i zręczność, odkupi cię od rządu. Wtedy nie będziesz miał nic do roboty jeno w zausznicach złotych, ze złotym baldachimem na grzbiecie i przetykanych złotem szkarłatnych oponach na bokach, przechadzać się będziesz na czele orszaku królewskiego. Wtedy ja będę siedział na twoim karku, ze srebrnym ankusem w dłoni, a ludzie, wywijający złotymi halabardami, będą biegli przodem, wykrzykując: »Z drogi przed Słoniem Królewskim!« Toż to będzie przyjemnie, Kalo Nagu, ale zawsze nie tak, jak podczas polowania na puszczy.

— Uuf! — mówił na to Gruby Toomai.— Dzieciak jesteś i dziki, jak cielak bawoli. Włóczenia się po górach nie można uważać za najlepsze zajęcie w służbie rządowej. Zestarzałem się i nie lubię dzikich słoni. Co innego szereg murowanych

stajen, z oddzielnem pomieszczeniem dla każdego słonia, z porządnymi słupami, do których je można przywiązać, i z szerokimi bitymi drogami do ćwiczeń; ale nie takie wieczne obozowanie to tu, to tam. Ot, koszary w Cawnpore, to rozumiem: rynek tuż, a tylko trzy godziny roboty dziennie.

Mały Toomai pamiętał koszary w Cawnpore, ale nie odpowiadał; nienawidził tych płaskich, szerokich ulic, tego codziennego wydawania paszy z magazynu, tych długich godzin bezczynności, podczas których Kala Nag kołysał się w miejscu między wbitymi w ziemię palami.

Nierównie więcej podobało się Małemu Toomai wdrapywanie się na dostępne tylko dla słoni ścieżki i zbieganie pędem w doliny; obserwowanie stad słoni dzikich, pasących się w oddali; zrywanie się spłoszonego dzika lub pawia z pod nóg Kali Naga; oślepiające ciepłe ulewy, kiedy się kurzy ze wszystkich gór i dolin; urocze poranki mgliste, gdy się nie wie, gdzie na noc obóz rozłożą; wytrwałe, ostrożne ściganie dzikich słoni, ich szalony pęd, wśród nieustannych wystrzałów i wrzasków podczas ostatniej nocnej gonitwy, gdy słonie nakształt lawiny wpadają do ostrokołu, a spostrzegłszy, że niema wyjścia, rzucają się, jak obłąkane, na potężne pale, po to tylko, aby cofnąć się znowu przed wyciem, blaskiem płonących pochodni i wystrzałami ślepych nabożów.

W takiej chwili nawet mały chłopiec może się przydać, a Toomai był pożyteczny za trzech. Schwyciwszy pochodnię, wywijał nią i wrzeszczał z całej siły. Ale prawdziwie przyjemna chwila na-

stawiała wtedy, gdy zaczynano wyprowadzać słonie: kiedy Keddah, t. j. zagroda, była obrazem końca świata i ludzie porozumiewali się znakami, ogłuszeni piekielnym wrzaskiem. Wtedy Mały Toomai wdrapywał się na szczyt jednego z chwiejących się słupów palisady, skąd w świetle pochodni, z czarnymi, spłowiałymi od słońca kędziorami, wijącymi mu się po ramionach, wyglądał jak mały chochlik, a kiedy chwilowo hałas ustawał, dawały się słyszeć przeraźliwe jego okrzyki zachęty, rzucane Kali Nagowi śród huków trąb, trzasku słupów, świstu powrozów i jęków krępowanych słoni. »*Mail, mail, Kala Nag!* (Dalej, dalej, Czarny Wężu!) *Dant do!* (Na kły go!) *Somalo! Somalo!* (Ostrożnie, ostrożnie!) *Maro! Mar!* (Uderzaj, uderzaj!) Dalej od słupa! *Arre! Arre! Hai! Yai! Kja-a-aah!*« — Tak wykrzykiwał, podczas gdy Kala Nag borykał się z dzikim słoniem po całej Keddah, a starzy łowcy słoni, ocierając pot, spływający na oczy, znajdowali chwilę czasu, by przesłać przyjazne spojrzenie Małemu Toomai, kręcącemu się radośnie na szczycie słupa.

Ale nietylko kręcić się potrafił. Pewnej takiej nocy ześliznął się ze słupa, wcisnął pomiędzy słonie i schwyciwszy koniec upuszczonego powroza, rzucił go naganiaczowi, który usiłował spętać za nogi młodego, wierzgającego słonia (z młodymi słoniami zawsze jest więcej ambarasu, niż z dorosłymi). Kala Nag, zobaczywszy to, objął chłopca trąbą i podał Grubemu Toomai, który dał mu porządne klapsa i napowrót posadził na słupie.

Nazajutrz zburczał go, mówiąc:

— Więc nie wystarczają ci porządne, murowane stajnie i lekka służba z przenoszeniem namiotów, że ci się słonie łowić zachciało, mały nicponiu? A ci głupi naganiacze, których płaca mniejsza jest od mojej, zdążyli już powiedzieć o tem Peterse-nowi Sahibowi.

Mały Toomai drgnął cały ze strachu. Mało co wiedział o białych ludziach, ale Petersen Sahib był w jego oczach największym białym człowiekiem na świecie. Był on głową wszelkich czynności w Keddah, człowiekiem, który dostarczał wszystkich słoni rządowi indyjskiemu i znał się na zwyczajach tych zwierząt, jak nikt inny.

— I co... co z tego będzie? — zapytał Mały Toomai.

— Nic dobrego, to pewna; Petersen Sahib jest warjatem, inaczej, czyżby się uganiał za tymi dzikimi biesami? Może nawet zażądać, ażebyś został łowcą słoni, sypiał, gdzie się zdarzy, wśród febrycznych bagien puszczy, a wkońcu znalazł śmierć w Keddah pod nogami słoni. Dobrze, że to warjactwo kończy się szczęśliwie. Na przyszły tydzień ustaje obława, i nas, mieszkańców nizin, odeślą na dawne placówki. Wtedy będziemy sobie maszerowali po ubitych gościńcach i zapomnimy wkrótce o całym tem polowaniu. Ale mnie gniewa, synu, żeś się wdał do tego, co jest właściwem zadaniem Assamesów, tych plugawych mieszkańców puszczy. Ponieważ Kala Nag nikogo prócz mnie nie słucha, muszę z nim wchodzić do Keddah, ale to jest słon do walki tylko, który do pętania się nie miesza. To też ja siedzę sobie spokojnie na jego grzbiecie,

jak przystało na machouta — nie zaganiacza — ale machouta, i do tego na człowieka, który otrzymuje emeryturę po skończeniu służby. Czy na to jest przeznaczony ród Toomai od Słoni, ażeby go poniewierano w błocie Keddah? Niegodziwy, szkaradny, wyrodny synu! Idź mi zaraz wymyć Kalę Naga, a ostrożnie z jego uszami, i pamiętaj, żeby nie miał cierni w nogach, inaczej Petersen Sahib weźmie cię napewno i zrobi z ciebie dzikiego naganiacza słoni, tropiciela, niedźwiedzia puszczy. Bah! Wstyd! Ruszaj!

Mały Toomai odszedł, nic nie mówiąc, ale Kali Nagowi, gdy mu opatrywał nogi, zwierzył się ze wszystkich doznanych krzywd.

— Mniejsza o to — mówił, odwracając olbrzymie prawe ucho Kali Naga. — Powiedzieli o mnie Petersenowi Sahibowi i może... może... kto wie? Hai! A to ogromny cierń wyciągnąłem!

Parę dni następnych zeszło na zgromadzeniu słoni, oprowadzaniu świeżo złowionych zwierząt pomiędzy dwojgiem oswojonych, ażeby je przyzwyczaić i nie mieć z nimi zbyt wielkiego ambarrasu w powrocie na niziny — i na uzupełnianiu opon, sznurów i wszystkich rzeczy, zniszczonych lub pozostawianych w lasach.

Petersen Sahib przybył na swojej rozumnej Pudmini, załatwiwszy się z wypłatami po innych, ukrytych wśród gór obozach, ponieważ sezon polowania się kończył, a teraz pisarz-tubylec, siedząc pod drzewem przy stoliku, wypłacał zasługi kornakom. Każdy z nich po otrzymaniu zapłaty odchodził do swojego słonia i stawał w szeregu, uszy-

kowanym do drogi. Łowcy, naganiacze i przewodnicy, regularna załoga Keddah, całe lata spędzająca w puszczy, siedzieli na grzbietach słońi, należących do stałej armji Petersena Sahiba, lub wsparci o drzewa, ze strzelbami, przewieszonemi przez plecy, żartowali sobie z udających się w podróż kornaków i wybuchali śmiechem, ilekroć który z nowopojmanych słońi psuł szyki i uciekał.

Gruby Toomai podszedł do pisarza, prowadząc Małego Toomai za sobą, a Machua Appa, wódz tropicieli, szepnął do przyjaciela:

— Patrz, wymyka się nam materiał na dobrego łowcę. Czy to nie szkoda, żeby taki młody kogucik, stworzony do puszczy, wypierzał się na równinie?

Petersen Sahib, mający słuch zaostrzony, jaki musi mieć człowiek, który przestaje z istotami najbardziej milczącemi na świecie, to jest z dzikimi słońiami — leżąc wyciągnięty na grzbiecie Pudmini, zwrócił się ku rozmawiającym i rzekł:

— Co wy mówicie? Nie znałem jeszcze żadnego z pomiędzy kornaków z nizin, któryby był zdolny do związania bodaj zdechłego słońia.

— To nie kornak, tylko mały chłopiec, który podczas ostatniej obławy wszedł do Keddah i rzucił powróż temu oto Barmao, kiedyśmy usiłowali odłączyć od matki tamtego młodego słońia z pręgą na grzbiecie.

To mówiąc, Machua Appa wskazał palcem Małego Toomai. Petersen Sahib spojrział na chłopca, który pokłonił mu się do samej ziemi.

— Więc to on podał powróż? Ta mała tyczka?

Jakże się nazywasz, mój chłopcze? — rzekł Petersen Sahib.

Mały Toomai z pomieszczenia nie mógł wymówić słowa, ale czując Kalę Naga poza sobą, dał ręką znak, na który słoń ujął go trąbą i uniosł w górę do wysokości czoła Pudmini, przed oblicze wielkiego Petersena. Wtedy mały Toomai ukrył twarzyczkę w dłoniach, ponieważ był dzieckiem i poza tem, co dotyczyło słoni, jak każde dziecko, był nieśmiały.

— Oho! — zawołał Petersen Sahib, uśmiechając się pod wąsem. — I nacóż to wyuczyłeś swojego słonia tej sztuki? Czy nie po to, żeby ściągać z dachów rozłożoną do wysuszenia zieloną kukurydzą?

— O nie, opiekunie ubogich — odpowiedział Mały Toomai — nie kukurydzą, ale... melony, — na co wszyscy, siedzący dokoła, wybuchnęli grzmącym śmiechem. Większość z nich uczyła w dzieciństwie słonie tej samej sztuki. Mały Toomai był na osiem stóp nad ziemią, zawieszony w powietrzu, ale w owej chwili życzył sobie bardzo znajdować się tyleż stóp pod ziemią.

— To jest Toomai, mój syn, Sahibie — ozwał się Gruby Toomai pośepnie — łobuz, który skończy z pewnością w więzieniu.

— Nie zdaje mi się — odrzekł Petersen Sahib. — Chłopiec, który w tym wieku stawia czoło pełnej Keddah, nie kończy w więzieniu. Masz tu, małeńki, cztery *anny* na cukierki za to, że pod tą strzechą z włosów nosisz dzielną głowinę. Z czasem może i ty zostaniesz myśliwym.

Na te słowa Gruby Toomai sposepniał jeszcze bardziej.

— W każdym razie pamiętaj, że Keddah nie jest odpowiednim miejscem do zabaw dla dzieci — mówił dalej Petersen Sahib.

— To już nigdy nie wolno mi tam wchodzić? — zapytał Mały Toomai z ciężkim westchnieniem.

— Owszem — odpowiedział Petersen Sahib, uśmiechając się znowu. — Ale wówczas, gdy zobaczysz taniec słoni. Przyjdź do mnie po ujrzeniu tańczących słoni, a pozwolę ci spacerować po wszystkich Keddah.

I znowu wybuch śmiechu rozległ się dokoła, ponieważ jest to utarty żart pomiędzy łowcami słoni i oznacza: nigdy. Znajdują się w głębi lasów rozległe polany, które zowią salami balowemi słoni, ale i na nie trafia się tylko przypadkiem, a żaden człowiek nie widział jeszcze nigdy tańczących słoni. Jeżeli jaki myśliwy przechwala się zręcznością i odwagą, inni zapytują go:

— A widziałeś kiedy taniec słoni?

Kala Nag postawił na ziemi chłopca, który znowu złożył ukłon głęboki i oddalił się z ojcem, by oddać otrzymaną monetę srebrną matce, karmiącej jego braciszka. Następnie cała rodzina usadowiła się na grzbiecie Kali Naga, i szereg mruczających i kwiczących słoni wyruszył po górskiej drodze w doliny. Był to pochód bardzo burzliwy z powodu młodych słoni, które przy każdym brodzie wywoływały zamieszanie, i które co krok potrzeba było zachęcać lub poganiać.

Gruby Toomai kierował surowo Kalę Nagiem, ponieważ był w złym humorze, za to Mały Toomai nie posiadał się z radości. Petersen Sahib zwrócił na niego uwagę i dał mu pieniądze, a to tyle znaczyło dla niego, co dla prostego żołnierza wywołanie z szeregów dla wysłuchania pochwały z ust głównego dowódcy.

— Co to miało znaczyć, co Petersen Sahib mówił o tańcu słoni? — odezwał się wreszcie cichutko do matki.

Gruby Toomai dosłyszał to i burknął:

— To znaczy, że nigdy należeć nie będziesz do tych bawołów górskich, do tych naganiaczy. Rozumiesz teraz? Hej, wy tam na przedzie, dlaczego stoicie?

Kornak z Assamesów, idący o jakie trzy słonie przodem, odwrócił się, wołając gniewnie:

— Przeprowadź Kalę Naga i wytuzuj porządnie tego tu młodzika, żeby go nauczyć porządku. Co też to przyszło do głowy Petersenowi Sahibowi, żeby mnie właśnie wysyłać w doliny z takimi osłami z pól ryżowych, jak wy! Przysuń się blisko, Toomai, i niech Kala Nag nie żałuje kłów. Na wszystkie bogi gór, te nowe słonie powściekały się chyba, lub zwietrzyły swoich towarzyszy w puszczy!

Kala Nag okładał nowego słonia po żebrach, aż tamtemu zabrakło oddechu, a Gruby Toomai odpowiedział:

— Ogołociliśmy góry z dzikich słoni po ostatniej obławie. Wyście sami winni, bo prowadzicie niedbale. Czy ja jeden mam utrzymywać porządek w całym szeregu?

— Patrzcie go! — zawołał inny kornak. — Ogołociliśmy góry! Ho, ho, jacyście wy mądrzy tam, na nizinach. Każdemu wiadomo, oprócz ślimaczych łbów, które nigdy nie widziały puszczy, że dzikie słonie wiedzą o zakończeniu polowania i że dlatego dzisiejszej nocy będą... — Ale po kiego licha mam trwonić mądre słowa na uczenie tych rzecznych żółwiów?

— Co będą robiły? — zawołał Mały Toomai.

— Och! maleńki, toś i ty tutaj? Dobrze, tobie mogę powiedzieć, ponieważ ty masz rozum w głowie. Oto tańczyć będą, a twój ojciec, który ogołocił wszystkie góry ze wszystkich słoni, dobrze zrobi, jeżeli na dzisiejszą noc podwoi na palach łańcuchy.

— Co on plecie? — rzekł Gruby Toomai. — Od czterdziestu lat z ojca na syna strzeżemy słoni, a nigdy jeszcze nie słyszeliśmy podobnych banialuk o jakichś tam tańcach.

— Zapewne, bo mieszkaniec nizin nie zna nic prócz czterech ścian chałupy, w której mieszka. Ano, spróbuj pozostawić na dzisiejszą noc słonie niespętane, a zobaczysz, co wyniknie. Co zaś do ich tańca, to ja na własne oczy widziałem miejsce, w którym... *Bapree, Bap!* ileż ta rzeka Dihang ma skrętów. Oto znowu bród i musimy zmuszać małe do pływania. Hej, stójcie, tam, w tyle!

Tak to rozmawiając, swarząc się i brodząc przez rzeki, odbyli pierwszy swój marsz i doszli do czegoś w rodzaju obozowiska, urządzonego dla przyjęcia nowych słoni; ale cierpliwość ich wyczerpała się dawno przed końcem drogi.

Tutaj uwiązano słonie na łańcuchach za tylne nogi do gęsto powbijanych pali, skrupowano dodatkowymi powrozami nowe słonie i nałożono przed nimi paszy, poczem kornacy górscy powrócili do Petersena Sahiba o podwieczерzu, zalecając kornakom z nizin szczególną baczność podczas nadchodzącej nocy i wybuchając śmiechem, gdy ci domagali się bliższych wyjaśnień.

Mały Toomai dopatrzył kolacji Kali Naga, a za nadejściem wieczora, czując się niewymownie szczęśliwy, poszedł błędzić po obozie, poszukując tam-tamu. Gdy dziecko indyjskie jest rozradowane, wtedy nie biega dookoła i nie sprawia bezładu i hałasu, ale siada na ziemi i rozkoszuje się samo sobą. A Mały Toomai rozmawiał z Petersenem Sahibem! Gdyby nie znalazł tego, czego szukał, rozchorowałby się chyba. Lecz straganiarz obozowy pożyczył mu małego tam-tamu: bębenka, w który uderza się wierzchnią stroną dłoni, i skoro gwiazdy zaczęły połyskiwać na niebie, Toomai siadł, skrzyżowawszy nogi, przed Kalą Nagiem, ze swoim tam-tamem na kolanach i bębnił, bębnił, bębnił bez przerwy, a im dłużej rozmyślał nad wielkim zaszczytem, który go spotkał, tem silniej uderzał w swój mały instrument, siedząc samotnie wśród paszy dla słoni. Choć nie było w tej muzyce ani melodji, ani słów, samo bębnienie sprawiało mu rozkosz.

Nowe słonie przeciągały się na powrozach, porykując i trąbiąc od czasu do czasu, a z namiotu obozowego słyсhać było głos jego matki, usypiającej małego braciszka przy pomocy staro-

dawnej pieśni o wielkim, dobrym Bogu Szywie, który ongi wyznaczył zwierzętom, co mają jeść. Jest to wdzięczna bardzo kołysanka, której pierwsza zwrotka brzmi jak następuje:

Szywa, co kłosa napelnia ziarnem i wiatrom wiać każe,
Siedział przed laty na progu, myśląc o świata obszarze:
Każdemu z tworów wydzielił pokarm, i pracę, i losy —
Od króla na złotym tronie, do dziada, co żebrze bosy.

Wszystko urządził opiekuńczy Szywa

Mahadeo, Mahadeo! wszystko on!

Osty są dla wielbłąda, dla bydła pasza zielona,

A dla dzieciny uścisk matczyny, gdy główkę tuli do łona.

Mały Toomai towarzyszył śpiewowi wesołem bębnieniem na końcu każdej zwrotki, dopóki sam nie uczuł się śpiącym i nie wyciągnął się na sianie u boku Kali Naga.

Wreszcie słonie poczęły się układać jeden za drugim, według swego zwyczaju, i po chwili tylko Kala Nag stał jeszcze na prawym końcu szeregu, kołysząc się zwolna z boku na bok i z nastawionemi uszyna łowił powiewy nocnego wietrzyka, szumiącego łagodnie pośród gór. W powietrzu pełno było owych odgłosów nocnych, składających się społem na uroczystą ciszę: chrzęstu trzciny bambusowych, uderzających jedna o drugą, szelestu jakichś żyjących istot w zaroślach, trzepotania i kwilenia nawpół zbudzonego ptaka (ptaki bowiem częściej, niżby się zdawać mogło, budzą się wśród nocy) i szmeru wód, spadających gdzieś w oddali. Mały Toomai drzemał czas jakiś; gdy się obudził, księżyc jasno przyświecał, a Kala Nag stał ciągle z na-

stawionemi uszyna. Mały Toomai odwrócił się na trzeszczącym posłaniu i patrzył na wygięcie potwornego grzbietu, zasłaniającego mu połowę nieba, gdy wtem, hen, daleko i tak cicho, że odgłos ten był jakby śpilką, przekłuwającą głębokie milczenie nocy, ozwało się nawołujące hukanie słonia.

Wszystkie słonie w szeregach zerwały się na nogi, jakby na głos wystrzału, a porykiwania ich zbudziły wkońcu rozespanych machoutów, którzy wzięli się do głębszego wbijania pali za pomocą ogromnych młotów drewnianych, do umacniania powrozów i zaciągania węzłów, aż wreszcie wszystko powróciło do dawnego spokoju. Ponieważ jeden z nowych słoni wyważył prawie całkiem pal, u którego był przywiązany, Gruby Toomai zdjął z nogi Kali Naga łańcuch, spętał nim przednią i tylną nogę niespokojnego słonia, a Kali Nagowi nałożył na kostkę powróśło z długiej trawy, nakazując mu pamiętać, że jest mocno przywiązany. Uczynił tak, bo wiedział, że jego ojciec i dziad robili to samo setki razy. Lecz Kala Nag nie odpowiedział na to polecenie zwykłym bulgotaniem. Ze wzniesioną lekko głową, z uszyna rozpostartemi nakształt wachlarzy, stał cicho, wpatrując się w zalane światłem księżycyca grzbiety gór Garo.

— Zwracaj na niego uwagę, jeżeli w nocy będzie niespokojny — rzekł Gruby Toomai do Małego Toomai i powróciwszy do namiotu, położył się spać.

Mały Toomai zasypiał znowu prawie, gdy wtem usłyszał lekki trzask pękającej liny z włó-

kien bambusowych i ujrzał Kalę Naga, oddalającego się od pali zwolna i cicho, na podobieństwo obłoku, płynącego nad doliną. Chłopiec pobiegł za nim bosy na księżycową drogę, wołając z zapartym oddechem:

— Kalo Nagu! Kalo Nagu! Weź mnie z sobą, Kalo Nagu!

Słoń odwrócił się bez szelestu, postąpił parę kroków ku chłopcu, a wyciągnawszy trąbę, wsadził go sobie na grzbiet, i nim mały Toomai zdążył skrzyżować kolana, zanurzył się z nim w lesie.

Od szeregów doleciała wrzawa szalonego trąbienia, poczem wszystko znowu pograżyło się w ciszę, a Kala Nag dążył ciągle przed siebie. Chwilami kępy wysokiej trawy zalewały mu boki, jak boki okrętu fale, czasem obwisłe grona dzikiego pieprzu ocierały mu się po grzbiecie, albo trzeszczał bambus pod dotknięciem jego pleców; poza tem jednak posuwał się w absolutnej ciszy, jak gdyby gęste lasy Garo ze mgły były utkane. Szedł ciągle pod górę, ale jakkolwiek Mały Toomai dostrzegał gwiazdy skróś gęstwiny liści, nie mógł zdać sobie sprawy z kierunku drogi.

Wreszcie Kala Nag stanął na przełęczu i zatrzymał się na chwilę, a Mały Toomai ujrzał przed sobą wzorzysty kobierzec z wierzchołków drzew, mieniący się w świetle księżycowym na kilkanaście mil naokół, a tam, w głębi, niebieskawy tuman, unoszący się nad rzeką. Toomai wychylił się i patrzył i wnet uczuł, że te lasy pod nim czuwają, dyszą i roją się od istot żywych. Wielki, owocozerny brunatny nietoperz musnął go po twarzy;

zachręściały w gąszczu kolce jeżozwierz, a pomiędzy pniami drzew słychać było odyńca, ryjącego zawzięcie wilgotną, ciepłą ziemię i wietrzącego dokoła.

Potem gałęzie zamknęły się znowu nad jego głową, gdyż Kala Nag zaczął spuszczać się na dół, nie tak spokojnie, jak poprzednio, lecz całym pędem, jak strącone z lawety działo, staczające się po stromej pochyłości. Ogromne łapy poruszały się z regularnością pistonów¹⁾, robiąc ośmiostopowe kroki, a pomarszczona skóra szeleściła na zgięciach. Po obu stronach łamały się z trzaskiem zarośla, jak rozdierane płótno, młode latorośle, odginane na prawo i lewo jego piersiami, prostowały się raptownie, chłuszcząc go po bokach; powikłane kłęby roślin pnących czepiały się kłów jego, a on wstrząsał głową na wszystkie strony i torował sobie drogę. Mały Toomai przyległ silnie do jego ogromnego karku, gdyż lada chwila rozkołysane gałęzie mogły go zmieść na ziemię, i począł żałować, że nie został w obozie.

Trawa stawała się coraz wilgotniejsza, nogi Kali Naga lgnęły i grzęzły w gruncie, a mgły nocne na dnie doliny chłodem przejęły Małego Toomai. Dał się słyszeć chlupot, bryzganie i szum płynącej wody: Kala Nag przebywał wbród rzekę, ostrożnie posuwając się krok za krokiem. Śród plusku fal, rozbijających się o nogi słonia, Toomai posłyszał inne chlupania i trąbienie w górze i w dole rzeki,

¹⁾ Piston — tłok t. j. wałek metalowy, używany w pompach, sikawkach i maszynach parowych.

zmieszane z potężnymi rykami i gniewnem chrapaniem, a we mgle dookoła zdawały się błąkać toczące się, chwiejne cienie.

— Aj!—zawołał półgłosem, dzwoniąc zębami.— Naród Słoni wyruszył tej nocy. A zatem będzie taniec.

Kala Nag z łoskotem wy dostał się z wody, świsnął trąbą, ażeby ją oczyścić, i zaczął znowu piąć się w górę, tym razem jednak nie był już sam jeden i nie potrzebował torować sobie drogi. Było to już zrobione: przed nim na szerokość sześciu stóp pomięte trawy puszczy usiłowały się wyprostować i stanąć znowu. Wiele słoni musiało przejść tędy parę minut temu za ledwie. Obejrawszy się poza siebie, Mały Toomai ujrział olbrzymiego dzikiego samca, z groźnymi kłami i małemi oczyma wieprzka, świecącemi jak dwa węgle, który tylko co wydobył się z zamglonego łożyska rzeki. Potem drzewa otoczyły ich znowu, i dążyli ciągle w górę wśród trąbienia, łoskotu i trzasku pękających dokoła gałęzi.

Nakoniec Kala Nag zatrzymał się pomiędzy dwoma drzewami, na samym szczycie góry. Drzewa te z wielu innemi okalały nieregularną polanę, mającą około czterdziestu akrów rozległości, a na całej tej przestrzeni Toomai widział ziemię ubitą tak twardo, jak podłoga z cegieł. W pośrodku pustej równiny rosło kilka drzew, odartych z kory i świecących w blasku księżyca białem, wygładzonym drewnem. Z górnych konarów zwieszały się pnące rośliny, a wielkie woskowato-białe kielichy ich kwiatów jak powoje chyliły się ku ziemi, niby

uśpione, — ale na całym obszarze polany nie było widać ani źdźbła trawy — nic, tylko ubitą ziemię.

W świetle księżycowem klepisko to miało barwę sianej stali, z wyjątkiem tych miejsc, w których od kilkunastu stojących słoni padały na ziemię cienie, czarne jak atrament. Mały Toomai z zapartym oddechem i wytrzeszczonemi oczyma spoglądał przed siebie i widział, jak co chwila coraz to więcej słoni wynurzało się na polanę z pomiędzy pni drzewnych. Mały Toomai umiał liczyć tylko do dziesięciu, rachował jednak na palcach, dopóki nie zgubił liczby swoich dziesiątek i nie uczuł zawrotu głowy. A poza polaną ciągle jeszcze słychać było trzask wśród zarośli, sprawiany przez torujące sobie drogę słonie, które jednak z chwilą przedostania się do środka koła, poruszały się wszystkie cicho, jak widziadła.

Były tam dzikie samce z białymi kłami, których fałdy uszne i zmarszczki na karku pełne były liści, orzechów i zeschniętych gałązek; samice tuczne i powolne, z niespokojnymi małymi słoniami, o różowo-czarniawej skórze, które, nie mając nawet czterech stóp wzrostu, kręciły się między nogami matek; młode słonie z tylko co puszczającymi się kłami, nadzwyczaj dumne z tej oznaki dojrzałości; chude, kościste, stare jałowice z pomarszczonemi, pełnemi niepokoju twarzami i trąbami, podobnemi do chropawej kory; straszliwe stare buhaje, pokiereszowane na plecach i bokach ogromnemi szramami i pręgami, śladami dawnych zapasów, i oblepione grudkami zeschniętego błota po samotnych w bagnach kąpielach; był nawet jeden słoń z od-

łamanym kłem i ze straszną blizną na czole, pamiętką po pazurach napadającego tygrysa.

Całe te tłumy słoni stawały łeb w łeb naprzeciwko siebie, albo spacerowały wokoło parami, albo wreszcie kołysały się i zataczały na jednym miejscu.

Toomai wiedział, że nic złego stać mu się nie może, dopóki będzie spokojnie leżał na grzbiecie Kali Naga, gdyż słoń dziki, nawet w czasie napędzania i uganiania się po Keddah, nigdy nie podniesie trąby, ażeby zrzucić człowieka, siedzącego na słoniu oswojonym, te zaś nie myślały zupełnie o ludziach tej nocy. Raz tylko zatrzymały się i nastawiły uszy, bo w lesie usłyszały brzęk kajdan, ale wkrótce okazało się, że to była Pudmini, ulubienica Petersena Sahiba, która ze szczątkami rozerwanego łańcucha u nogi wchodziła, rycząc i sapiąc, na wierzchołek. Widać, że wyłamawszy pale, przychodziła prosto z obozu Petersena Sahiba. Wkrótce Mały Toomai spostrzegł innego, nieznanego sobie słonia z głębokimi szramami od powrozów na plecach i na piersiach. I ten widocznie wyrwał się z jakiegoś obozowiska w górach. Nareszcie, kiedy w lesie nie było już słyhać wcale kroków nadchodzących słoni, Kala Nag ruszył ze swego stanowiska pomiędzy drzewami, pochrzając i gulgocząc, w sam środek tłumy, i wszystkie słonie, kołysząc się, zaczęły rozmawiać we własnym języku.

Mały Toomai, leżąc nieruchomo, widział przed sobą setki szerokich grzbietów, chwiejących się uszu, wijących się trąb i ruchliwych małych oczu.

Słyszał szcęk kłów, uderzających o siebie wypadkiem, suchy szmer splecionych trąb, tarcie olbrzymich kadłubów w ścisku i bezustanny świst i uderzania wielkich ogonów. Potem księżyc skrył się za chmurą, i nastał mrok czarny, ale spokojne, regularne szturchanie, posuwanie się i gulgotanie ani na chwilę nie ustawało. Czuł, że Kala Nag otoczony jest słoniami dokoła, i że nie jest w jego mocy nakłonić go do opuszczenia towarzystwa, zacisnął przeto zęby i leżał, drżąc cały. W Keddah były przynajmniej blaski pochodni i krzyki ludzkie, tutaj czuł się samotnym, w ciemności, a raz jakaś podniesiona trąba dotknęła jego kolana.

Nagle jeden ze słoni zatrąbił, a za nim wszystkie inne, i huczna ta fanfara rozległa się przez pięć lub dziesięć strasznych sekund. Rosa spadała z drzew nakształt deszczu i rozpryskiwała się na niewidzialnych grzbietach, a jednocześnie wszczął się dokoła tętent jakiś, niewyraźny i cichy zrazu, którego znaczenia Mały Toomai nie rozumiał. Ale szum ten rósł i olbrzymiał, a Kala Nag zaczął podnosić przednie nogi jedną po drugiej i walić niemi w ziemię, raz, dwa, raz, dwa, z regularnością młota. Teraz już wszystkie słonie tupwały jednocześnie, co brzmiało jak bicie bębnow wojennych w otworze jaskini. Rosa wciąż opadała z drzew, dopóki nie opadła wszystka, a dudnienie nie ustawało; ziemia uginała się i dygotała, a mały Toomai zatkał sobie uszy rękoma, ażeby nie słyszeć hałasu. Lecz na próżno: całą jego istotę przejmowało drżenie od tego okropnego kołatania tysięcy grubych nóg o świeżą ziemię. Raz czy dwa razy uczuł, że Kala

Nag z towarzyszami posunął się o parę kroków naprzód, a wtedy tupanie przechodziło w chrzęst miażdżonych roślin soczystych, ale po chwili znowu rozlegało się głucho uderzanie nóg po twardej ziemi. Gdzieś w pobliżu skrzypnęło i zaszeleściło drzewo. Wyciągnąwszy rękę, namacał korę, ale Kala Nag ruszył naprzód, przytupując ciągle, i chłopak nie mógł sobie zdać sprawy, w której stronie polany się znajduje. Słonie przestały się zupełnie odzywać, raz tylko parę małych słoni kwiknęło jednocześnie. I znowu słyhać było uderzenia i biegania, a po chwili rozlegało się to samo regularne stąpanie. Trwało to dwie godziny z górą i Mały Toomai odczuwał ból w każdym stawie, gdy poznał wreszcie z woni powietrza nocnego, że jutrzienka nadchodzi.

Jakoż wkrótce poza zielonymi wierzchołkami gór zabłysnął brzask jedną bladożółtą smugą, a za pierwszym promykiem tupanie ustało, jak gdyby światło dnia było sygnałem. Zanim przeszedł szum w głowie Małego Toomai, zanim zdążył przybrać dogodniejszą pozycję, już nie zobaczył kolo siebie innych słoni, prócz Kali Naga, Pudmini i nieznajomego z szramami od powrozów. Żaden znak, szmer lub szelest na pochyłości gór nie wskazywał, gdzie się inne udały.

Mały Toomai rozglądał się bacznie dokoła. Polana, o ile sobie przypomniał, rozszerzyła się przez noc. W środku sterczało więcej drzew, ale krzaki i trawy po brzegach zostały posunięte. Mały Toomai rozejrzał się raz jeszcze. Teraz rozumiał już ów tętent nocny. Słonie wydeptały szerszą przestrzeń;

gęste trawy i soczyste trzciny zamienione zostały na sieczkę, sieczka na miazgę, miazga na proch, a ten wkońcu na twardą ziemię.

— Ach! — zawołał Mały Toomai, czując, że mu ciążyą powieki. — Kalo Nagu, mój panie, trzymajmy się Pudmini i ruszajmy razem do obozu Petersena Sahiba, bo inaczej zlecę ci z karku.

Trzeci słoń popatrzał za odchodzącymi, parsknął, zawrócił i poszedł swoją drogą. Należał zapewne do któregoś z mało znaczących królików miejscowych o jakie pięćdziesiąt lub sto mil stąd.

W dwie godziny potem, gdy Petersen Sahib siedział przy śniadaniu, słonie, trzymane w ciągu tej nocy na podwójnych łańcuchach, zaczęły trąbić, i Pudmini, zabłocona po uszy, z Kałą Nagiem, ledwie powłóczącym nogami, wkroczyła do obozu.¹

Mały Toomai miał twarz zzieleniałą i znużoną, a we włosach, wilgotnych od rosy, pełno liści; próbował jednak powitać Petersena Sahiba i zawołał omdlewającym głosem:

— Taniec słoni! Widziałem taniec! Widziałem i... umieram!

Kala Nag położył się w tej chwili, a chłopiec zsunął się na ziemię bez zmysłów.

Lecz ponieważ chłopcy miejscowi nie mają nerwów, o których wartoby mówić, więc już po dwóch godzinach Mały Toomai leżał rozciągnięty wygodnie w hamaku Petersena Sahiba, z jego własnym płaszczem myśliwskim pod głową, pokręziony szklanką gorącego mleka z odrobiną wódki i szczyptą chininy, i podczas gdy dokoła niego

w trzech rzędach siedzieli starzy, obrośnięci i pokiereszowani myśliwi puszczy, spoglądając nań jak na ducha, Toomai opowiadał urywanemi zdaniem, jak wszystkie dzieci, historję ubiegłej nocy, kończąc temi słowy:

— A teraz, czy skłamałem choć jedno słowo, poślijcie ludzi sprawdzić; niech zobaczą, jak tłumy słoni wydeptały sobie szerszą salę białową, niech odszukają dziesiątki, dziesiątki i wiele, wiele dziesiątków śladów, prowadzących do tej sali. Rozszerzyły sobie salę nogami. Widziałem to. Kala Nag wziął mnie z sobą, i widziałem. To też biednego Kale Naga bardzo bołą nogi!

Wyciągnąwszy się, spał potem przez cały dzień aż do zmroku, a przez ten czas Petersen Sahib i Machua Appa, śladami dzikich słoni przebyli około piętnastu mil w górach. Petersen Sahib spędził osiemnaście lat na chwytaniu słoni i raz tylko dotąd natknął się na podobne miejsce taneczne. Machua Appa za jednym rzutem oka na polanę odgadł, co się tu działo, i dotknąwszy końcem gołej nogi zbitej i udeptanej ziemi, powiedział:

— Dzieciak mówi prawdę. To się stało tej nocy, i przytem naliczyłem siedemdziesiąt śladów przez rzekę. Patrz, Sahibie, to pierścień nożny Pudmini zdrapał korę z tego drzewa. Tak, i ona tu była!

Spojrzeli na siebie, potem w górę i na dół i nie mogli wyjść z podziwienia, bowiem obyczaj słoni przekraczają pojęcie wszystkich ludzi, białych, czy czarnych.

— Czterdzieści pięć lat — odezwał się Machua

Appa — tropię ślady słonia, mego pana, a nie zdarzyło mi się słyszeć, ażeby dziecko człowieka widziało to, co zobaczył ten dzieciak. Na wszystkie bogi gór! jest to... co tu mówić! — i pokiwał głową.

Powrócili do obozu na czas wieczerzy. Petersen Sahib jadł kolację sam w swoim namiocie, ale wydał rozporządzenie, ażeby obóz otrzymał dwa barany i kilkanaście sztuk drobiu, tudzież podwójną rację mąki, ryżu i soli, ponieważ wiedział, że się zanosi na uroczystość.

Gruby Toomai przybiegł pośpiesznie z doliny, poszukując syna i słonia, a odnalazwszy ich, spoglądał tak, jak gdyby się ich obu obawiał.

I uroczystość odbyła się w istocie przy wielkich ogniskach obozowych, rozłożonych przed szeregiem uwiązanych u słupów słoni, a bohaterem jej był Mały Toomai.

Olbrzymiego wzrostu brunatni łowcy słoni, naganiacze, tropiciele, poskramiacze i kornacy, ludzie, obeznani ze wszelkimi sposobami ujarzmięcia najdzikszych słoni, oddawali go sobie z rąk do rąk, a każdy znaczył chłopca na czole krwią z piersi świeżo ubitego koguta leśnego, pasując go tym obrzędem na wtajemniczonego i wolnego myśliwca na całym obszarze puszczy.

Gdy zaś płomienie zgasły i czerwone światło żarzewia zrumieniło ciało słoni, jak gdyby i one we krwi skąpane zostały, Machua Appa, głowa wszystkich myśliwych nad wszystkimi Keddahami — Machua Appa, prawa ręka Petersena Sahiba, on, który w ciągu czterdziestu lat nie widział

bitej drogi — Machua Appa, tak wielki, że nie potrzebował innego nazwiska, tylko Machua Appa — wstał, podniósł oburącz Małego Toomai nad swoją głową i zawołał:

— Posłuchajcie mnie bracia! Słuchajcie i wy, również, moi panowie, stojący tam w szeregach, ponieważ to ja, Machua Appa, mówić będę! Chłopiec ten odtąd nie będzie się nazywał Małym Toomai, lecz Toomai od Słoni, jak pradziad jego nazywał się przed nim. Czego żaden człowiek nie widział, na to on patrzył przez całą noc, bo łaska narodu słoni i bogów puszczy jest z nim. Przeznaczeniem jest jego zostać potężnym łowcą, większym, niż ja, nawet niż ja, Machua Appa! Jasnym okiem przenikać będzie świeże i zatarte i popłątane ślady! Nie stanie mu się krzywda w Keddah, gdy się rzucać będzie pod brzuchy dzikich samców, ażeby je pętać, a jeżeli, potknąwszy się, runie pod stopy napadającego słonia, słoń pozna go i nie rozdepcze. *Aihai!* moi panowie na łańcuchach! — wołał dalej, zwracając się do szeregów pali — oto jest chłopiec, który się przyglądał waszym tańcom w kryjówkach waszych i widział to, czego ludzkie oko nie oglądało jeszcze. Uczcijcie go godnie, moi panowie! *Salaam Karo*, moje dziatki. Pozdrówcie po swojemu Toomai od Słoni! *Gunga Pershad, ahaa! Hira Guj, Birchi Guj, Kuttar Guj, ahaa!* Pudmini, tyś go widziała w tańcu, i ty również, Kalo Nagu, perło pomiędzy słomami. *Ahaa!* Razem! Na cześć Toomai od Słoni! *Barrao!*

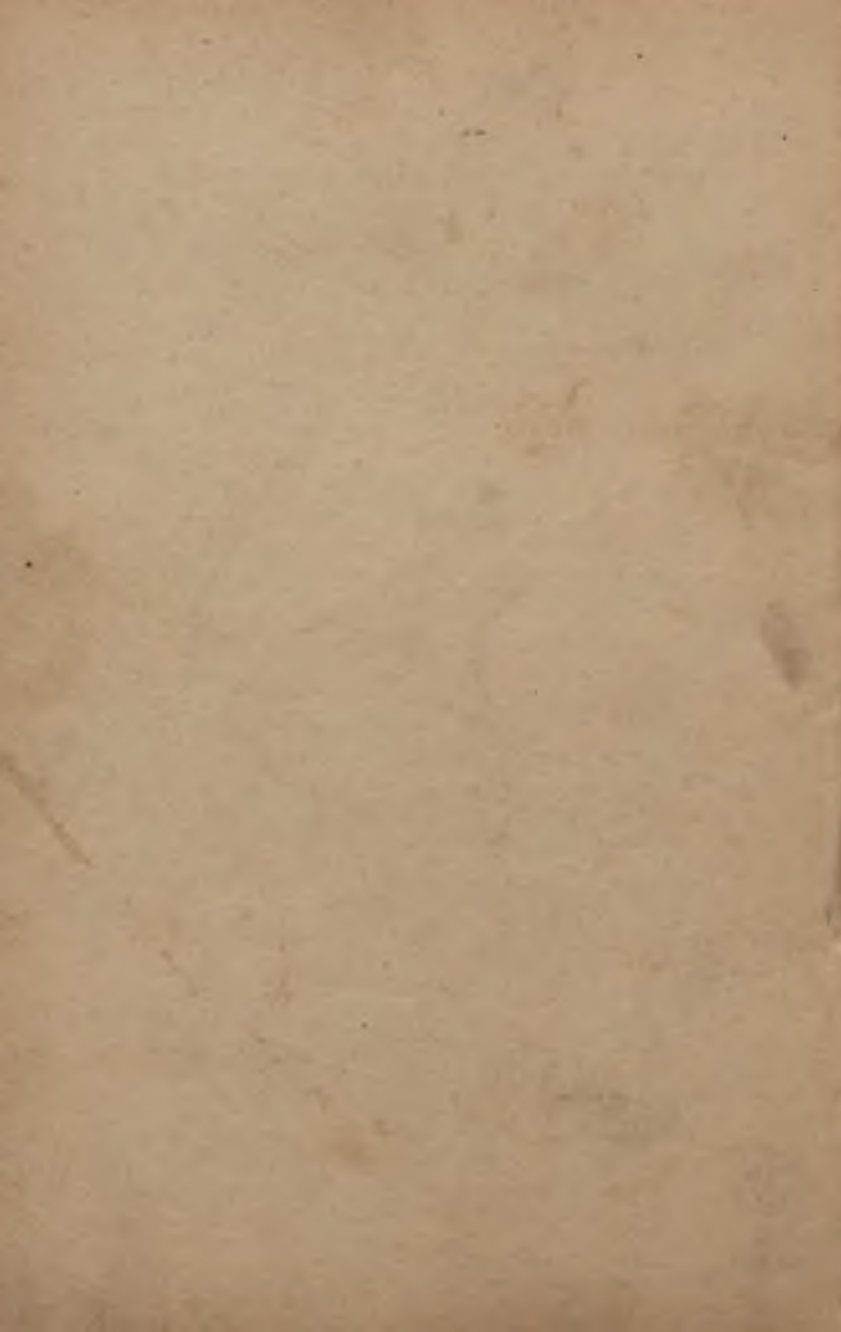
Po tym ostatnim dzikim wykrzyku cały szereg podniósł trąby do wysokości czoła i huknął

pełnym głosem ową przeraźliwą salwę trąb, którą
słyszy jedynie wicekról Indji, salwę *Salaamut*
Keddah.

Tym razem jednak salwa brzmiała na cześć
Małego Toomai, który ujrzał to, czego nikt przed
nim nie widział, a mianowicie taniec słoni, nocą,
sam jeden, w samym sercu gór Garo!

~~1920~~
d. 11. 11. 1920
Województwo Łódzkie
URZĘD. HARCERSKA im. H. TRAWUTY
we Lwowie

~~1920~~





PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



173796

UWAGA

MUZEUM

KŁOCEK INTROLIGATORSKI